



Aleksander Bednarz, Dariusz Siatkowski i Agnieszka Kowalska w „Brandzie” Henryka Ibsena

Przepis na różę z lodu

TEATR. Ibsenowska premiera Jaracza

Jak stworzyć sceniczne arcydzieło? Najnowsza premiera na Scenie Kameralnej daje nam pewnie w tym względzie wskazówki.

Bierzemy zatem utwór twórcy wielkiego, np. skandynawskiego. Utwór najłatwiej z tych nie zanadto znanych, zapijony w bibliotecznym kurzu. Pierwszy

plus - stajemy się kimś w rodzaju „odkrywcy”.

Utwór koniecznie musi być przeniknięty mistycyzmem, mówić o Sprawach Wielkich z wielkiej litery, w sposób jednak niejasny, mętny i pompacyjny (najlepsze w tym względzie są neoromantyczne moralitety). Plus drugi - widzowie czują, iż rangą intelektualną nie dorastają do poziomu dzieła. Siedzą więc jak na norweskim kazaniu, ale miny robią mądre i udają, że wszystko pojmują. Skoro na scenie Norwegia, musi być oczywiście surowo i kamiennicie, przy tym zimno jak w chłodni. Aktorzy niechaj się poruszają jak na dziesięciocalowych koturnach i przeżywają swoje emocje na piedestale wysokości co najmniej Kolumny Zygmunta. Sposób mówienia winien być powolny, hieratyczny, „cedzący” słowo za słowem. Plus trzeci - wielka sztuka wymaga poświęceń nie tylko ze strony wykonawców, także od widzów. Dzieło musi być wszak nudne, ponure i niekomunikatywne - inaczej to komercja. Wymieszawszy tak przygotowane składniki, dodajemy przyprawę rodem z kuchni alternatywno-awangardowej: częstą ciemność, filmową projekcję na gołej ścianie i różne pseudonaturalistyczne zabiegi, typu struganie deski aż wióry lecą (przypomina się osławione „dzieło” na scenie Studyjnego, kiedy to jeden z aktorów godzinę rąbał drewnianą kłodę - myślę, rzecz jasna, o Musilu w interpretacji Zbigniewa Maciaka). Plus największy - stworzyliśmy arcydzieło, które nawet grane dwa, trzy razy, przy umęczonej i rozziwianej widowni, ładnie wygląda „w dorobku”.

Róża, zamrożona w bryle lodu, którą wnosi w pewnej chwili na scenę jedna z postaci, może stanowić symbol najnowszej „jaraczowej” premiery. Już Gombrowicz zwracał w swoich „Dziennikach” uwagę, że na szczytach znaleźć można niewiele - trochę śniegu i wiatru, to wszystko. Prawdziwe życie toczy się w dolinach. Artyści wspięli się w owym przedstawieniu na szczyty tak wysokie, że ich głos po prostu chwilami przestaje do nas, zwykłych ludzi, docierać. A szkoda, gdyż tematyka jest na pewno interesująca i „na czasie” - sztuka wszak opowiada o fanatycznym pastorze, który w imię swoich pojętych zasad religijnych wykańcza całą rodzinę i rujnuje wieś. Cieszy fakt, że znakomici przecież aktorzy Teatru Jaracza zrealizowali reżyserski zamysł pracowicie, acz nie do końca posłusznie. Są bowiem momenty w kreacjach Aleksandra Bednarza jako tytułowego Branda (zwłaszcza w scenie z najbardziej „ludzką” i prawdziwą Matką - Ireną Burawską), Agnieszki Kowalskiej - udręczonej żony pastora, czy Grażyny Walasek - szalonej Gerdy, kiedy scena drga prawdziwym wstrząśnięciem i wtedy serca widzów biją żywiej. Te właśnie chwile wynagradzają pełnemu bardzo dobrej woli spektaklowi ponad dwugodziną męczarnię.

WITOLD JABŁOŃSKI

Scena Kameralna Teatru Jaracza w Łodzi. Henrik Ibsen „Brand”, reżyseria: Marcin Jarnuszkiewicz, scenografia: Katarzyna Jarnuszkiewicz, opracowanie muzyczne: Krzysztof Lipka. Premiera 7 lutego 1998 r.